

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

W kleszczach kryzysu.

Kryzys... Niema chyba dzisiaj bardziej oklepanego tematu. Przeżuwa się jednak ten temat zwykle w skali, że tak powiem, światowej lub ogólnopolskiej. Jak się ten światowy kryzys odbija tu, na naszym miejscowym gruncie, zwłaszcza na wsi, w jakich on się formach przejawia, jakie są jego bezpośrednie przyczyny i skutki—jest to temat, wzbudzający zaledwie zainteresowania wśród naszych statystów, którzy z o wiele większym upodobaniem snują rozległe plany reformy całego ustroju współczesnego. Panująca obecnie depresja kryzysowa ma to nawet do siebie, że upraszcza i szablonizuje wszelkie ekonomiczne rozważania i wnioski. Kryzys—stał się magicznym słowem, którym chętnie zamyka się nie jedną dyskusję, a nie jedno praktyczne, miejscowe zagadnienie odsuwa się gdzieś w kącie spraw nieaktualnych.

Wiesń nasza nie stanowi, gospodarczo biorąc, organizmu skomplikowanego. Jest ona raczej organizmem mało złożonym, prostym, prymitywnym. A jednak nie jest łatwo scharakteryzować objawy kryzysu, który, bezwątpienia, chwycił już w swoje kleszcze i naszą wieś. Przysłuchując się rozmaitym opiniom wypowiedzianym o kryzysie na wsi przez ludzi, uchodzących za kompetentnych—przyjść należy do przekonania, że w ocenie skutków kryzysu panują nieraz rażące sprzeczności. Ta trudność oceny prawdziwego stanu rzeczy, ta rozbieżność w sądach wynika stąd, że wieśniak nasz i jego gospodarstwo nie mogą być mierzone szablonem jakiejś określonej teorii. Bo cóż można powiedzieć określonego o stanie ekonomicznym człowieka, który przywykł potrzeby swego żołądka regulować sławną, tutejszą „dziażką”—to rozluźniając ją, to zaciskając do niemożliwości, w miarę potrzeby i warunków. Bytowanie naszego włościanina jest dotychczas tak prymitywne, potrzeby jego mogą być tak ograniczone, że zastosowanie do niego jakiejś miary nie jest łatwe. Naszą wiejską ludność rolniczą możnaby porównać do kawałka gumy, której rozmaite zewnętrzne warunki nadawać mogą dowolną formę: mogą ją zgniatać, ścisnąć, spłaszczyć—lecz nawet ciężki

walec kryzysu nie zdoła zmienić tej, właściwej jej, konsystencji, która nie poddaje się rozdrobieniu i rozmiżdżeniu. W tem, być może, jest siła naszej wsi, ta zadziwiająca jej odporność na rozmaite dolegliwości i eksperymenty życiowe—nie tylko ekonomiczne, ale również społeczne i polityczne.

Jeżeli byśmy chcieli najogólniej scharakteryzować objawy kryzysu na wsi, to przede wszystkim musielibyśmy stwierdzić niebywały i wprost nienaturalny głód pieniędzy. Wydać się może, że takim określeniem kryzysu ułatwiam sobie zbyt zadanie, gdyż trudności pieniężne są wszak objawem ogólnym, charakteryzującym obecne położenie, a nie stanowią bynajmniej jakiejś osobliwości tutejszej. Ale chodzi mi właśnie o podkreślenie tego, że ten głód pieniężny jest u nas nienaturalny, a wyrósł z podłoża tych nienormalnych warunków, w których wieś nasza znalazła się zupełnie dobrowolnie. Warunki te powstały z rozmaitych przyczyn.

Ogólnie biorąc miejscowe gospodarstwa rolne, zwłaszcza włościańskie, nigdy nie były nastawione na „robienie” pieniędzy. Cechą ekstensywnych naszych gospodarstw włościańskich, w przeważającej masie, jest pewna wystarczalność spożywcza, którą zresztą nie zawsze osiągać potrafią. Przeciętne małe gospodarstwo włościańskie nie było obliczone na zdobywanie gotówki. Pieniądz raczej przychodził ze strony, najczęściej z różnorodnych, tak zwanych postronnych zarobków. Potrzeby pieniężne wieśniaka naszego były zresztą minimalne, obrót gotówkowy gospodarstwa nikły. Jeżeli i były z lat dawnych jakieś oszczędności, to zaprzepaściły się one w wojennych i powojennych perypetjach dewaluacyjnych, lub poszły na zakup ziemi. Bezwątpienia, okres inflacyjny pogrzebał wiele oszczędności wiejskich. Gdy zakończyła się inflacja, wieśniak nasz był już do szczętnie z grosza bieżącego wyplukany. Przyszły wprawdzie lata tak zwanej dobrej koniunktury, lecz nasze ekstensywne gospodarstwa nie potrafiły jej wykorzystać. Zresztą wypadło kilka kłęskowych lat, które nie pozwoliły odetchnąć i nabrać sił. I wreszcie nastąpił okres kryzysu, który zaraz ujawniać się zaczął w formie deflacji pieniądza, którego wieśniak nie miał. To, co wieśniak normalnie kapitalizuje i to, co produkuje, straciło nagle swoją uprzednią wartość

w tak znacznym stopniu, że zdobycie normalnej ilości potrzebnej gotówki stało się wprost niemożliwością. Tymczasem wszelkie podatki i świadczenia, którymi nasz wieśniak został niepomierne obciążony nie uległy obniżeniu. Naturalną więc było rzeczą, że ten ogromny spadek cen produktów rolnych, ze sprzedaży których rolnik normalnie gotówkę czerpał—zwłaszcza przy ustaniu źródeł innych zarobków—sprawił to, że wszystkie te świadczenia podatkowe wzrosły dlań, jakby automatycznie, w tym samym stopniu, w jakim obniżyła się wartość pieniężna sprzedawanego towaru.

Lecz nietylko wzrosły efektywnie dla rolnika podatki i świadczenia. Rolnik stanął jeszcze nadto wobec innego faktu: przeważająca ilość najniezbędniejszych w gospodarstwie i w codziennym spożyciu wieśniaka artykułów przemysłowych pozostała na poziomie przedkryzysowym. Wszelkie artykuły żelazne, narzędzia rolnicze, maszyny, nawozy sztuczne, materiały budowlane, jak szkło, cement, artykuły codziennego spożycia, jak nafta, sól, zapałki, wreszcie tytoń i wódka—pozostały na poziomie z okresu przed kryzysem, a niektóre nawet podrożały. To naturalnie musiało zaważyć na budżecie rolnika, na jego wydatkach pieniężnych. I tu wieśniak nasz odczuł boleśnie politykę kartelową i monopolową państwa.

Nietylko jednak to wpływa na trudności pieniężne wsi. Przed okresem kryzysu rząd, jak u nas mówi się, „rozprowadził” na wsi sporo kredytów różnego rodzaju. Ogólne zadłużenie Wileńszczyzny (województwa) sięga 90 milionów złotych, w tem zadłużenie krótkoterminowe wynosi 47 mil. zł. Z tytułu tych kredytów rolnictwo rocznie musi płacić 12 mil. zł. samych procentów. I tu znowuż mamy to same zjawisko, iż w skutek wzrostu wartości złotego, zaobowiązania rzeczowe również wzrosły. W dziedzinie kredytowej zachodzą wypadki, urągające wprost wszelkiej logice ekonomicznej. Znane są np. kredyty tak zw. hodowlane. Nie dużo ich wprawdzie było, ale udzielone one zostały na zakup krów rolnikom, dostarczającym mleko do mleczarni spółdzielczych. Taki gospodarz, którego nieraz *namówiono* na wzięcie kredytu, np. 400 zł., kupił w swoim czasie jedną krowę. Gdy jednak przyszedł termin płatności, to okazało się, że na pokrycie tego długu wypada sprzedać aż 5 krów, mniej więcej takiej jakości, jakiej była owa kupiona przed paru laty za 400 zł. jedna krowa.

Kłeską stały się i inne kredyty, udzielane za pośrednictwem tak zwanych Kas Stefczyka. Ludzie ponabierali tam pieniędzy, opłacając wysokie procenty (14—18 % rocznie) i obecnie są w rozpaczliwym położeniu. Nawiasem mówiąc wszystkie te kasy, z takim pośpiechem zakładane przed kilku laty, znajdują się obecnie w stanie jeżeli nie bankructwa, to bądź co bądź bliskim tego.

Rzecz zrozumiała, że w takich warunkach musiało powstać to zjawisko, które nazwałem uprzednio nienaturalnym głodem pieniądza. Warunki życiowe i powinności wyciskają z rolnika gotówkę, której on nie ma, i którą mu w obecnym okresie zdobywać jest niezmiernie trudno. Jeżeli dodać do tego brak zupełny zarobków, które normalnie wlewały do rodziny włościańskiej pewną ilość grosza—to obraz ten stanie się wyraźnym.

Nie chcę mówić o nędzy na wsi, gdyż nie wywołał jej wyłącznie kryzys. Była ona i bez niego. Kryzys ją tylko obnażył. Stała się ona bardziej jaskrawą. Jeżeli wysunąłem na czoło objawów kryzysu głód pieniądza—to nie chciałem przez to pomniejszać znaczenia innych jego objawów. Panuje często mylne przypuszczenie, że na wsi jest trudno o gotówkę, ale że pod innymi względami sytuacja tam stosunkowo jest znośna. Np. co do produktów żywnościowych—że wieś nie odczuwa ich braku. Tak jednak nie jest. Wieś jest i głodna i oberwana—słowem można powiedzieć, zholala „na czysto”. Dosić zajrzeć na targ wiejski, aby o tem się przekonać: inwentarz chudy, wynędzniały. Po wsiach ogromny brak chleba, którego nie mają przytem za co kupić. Ludzie obdarci, źle obuci—pomimo to, że artykuły odzieżowe są względnie tanie. Szczególnie jaskrawo spauperyzowała się tak zwana większa własność, znajdująca się w większości w stanie bankructwa.

Oceniając te wszystkie obawy, trzeba przyjść do przekonania, że choć wywołał je wprawdzie kryzys, ale pośrednio wyrosły one również na podłożu tych warunków, w których kraj nasz, a zwłaszcza wieś, znalazły się po wojnie. Nie ulega wątpliwości, że kryzys nie przybrałby u nas form tak jaskrawych, gdyby nie sprzyjały mu specyficzne warunki, którymi naturalna odporność wsi została bardzo osłabiona.

Przez szereg lat ubiegłych kształtowano, niezależnie od miejscowego społeczeństwa, nie oglądając się na jego potrzeby, życie naszego kraju według

VAIŽGANTAS.

Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(D. c.)

P o k ó j.

Nerwy, które już poczęły się uspokajać, do najwyższego stopnia podnieciła dziwna pocztówka, zaadresowana do „Niespokojniewiczów i Spokojniewiczów w Auksztajciach gubernja kowieńska”. Ani kiedy wysłana, ani skąd. Zadnej pieczęci ani znaczka. Treść była jeszcze dziwniejsza: pisana ręką młodego Spokojniewicza, ale podpisy obu jeden obok drugiego.

„Najdrożsi! wy nas kochacie, więc módlcie się!

Z domu odrazu trafiliśmy w sam ogień. Bijemy się, maszerujemy i znowu się bijemy. Gonimy wroga. Powodzi się nam, zwyciężamy wciąż, lecz dużo, dużo ofiar trzeba ponieść. My dzięki Bogu, chociaż jesteśmy podrapani i zmęczeni, lecz jeszcze poważniejszej rany nie odnieśliśmy. Walczymy mężnie. Dowództwo zwróciło na nas uwagę i awansowaliśmy na oficerów („praporszczyków” na czas trwania wojny). Ale do końca jeszcze daleko. Więc proście Boga byśmy żywi pozostali”.

Odkrytkę na poczcie wręczono Spokojniewiczównie. Ta przeczytała i z radości omalało co nie postradała zmysłów. Z całego listu tylko jedno zrozumiała: obaj podoficerowie powrócą jako oficerowie, jako panowie w ładnych mundurach, przy szabli i ostrogach.

Spotkawszy Niespokojniewiczównę złapała ją, pocałowała, okręciła w kółko i na głos przeczytawszy pocztówkę, popędziła do domu chcąc jaknaj-

schematycznych wzorów. Siłą faktów wciągnięci zostaliśmy w wir centralistycznie rozbudowującego się młodego państwa, które z całą bezwzględnością stosowało u nas swój jednolity szablon. Kraj został pociągnięty do niesienia ciężarów, które nie wynikały ani z naturalnych jego potrzeb, ani nie odpowiadały jego siłom i możliwościom. Niepomierne rozbudowane urzędy, któremi nas obdarzono, te nie pasujące do naszych stosunków samorządy i wreszcie różnorodne instytucje i organizacje społeczne—legły niepomiernym ciężarem na ubogi kraj i ubogą, prymitywną ludność wiejską. Kraj zaczął żyć życiem nad stan. Przez szereg lat oglądano się i oczekiwano, że przyjdzie jakiś wyjątkowy sukurs ze strony władz centralnych, jakiegoś zbawienne posunięcia rządu. Okazało się jednak, że przyszedł kryzys i terminy płatności wysokooprocentowanych, a prawie narzuconych, kredytów.

Pozatem ekonomiczna polityka wszystkich zmieniających się rządów wytwarzała raczej warunki osłabiające nasze rolnictwo. Państwo potrafiło przyjść do nas ze swoim kosztownym i uciążliwym aparatem, a nie potrafiło stworzyć sprzyjających warunków ekonomicznych. Nie mówiąc już o zdrowych, a odpowiednich dla naszego rolnictwa kredytach, państwo nie zatroszczyło się o zbyt produktów rolnych, o wyszukanie rynków, wreszcie o ułatwienie produkcji w formie obniżenia jej kosztów. Natomiast bez żadnych skrupułów zastosowano pompę fiskalną, ssącą z zubożałego kraju niepomierne duże świadczenia gotówkowe. Kryzys wreszcie wykazał wyraźnie, że pompa nie może już działać, bo soków już w kraju zabrakło. Organizm okazał się zanadto już wyczerpany. Zaczęto ostatnio przykładać plasterki, które jednak nie dadzą rolnictwu siły i zdrowia na dalszą walkę z kryzysem.

Rolnictwo nasze, a właściwie kraj cały, wymaga radykalnej kuracji. Paljatywy ratownicze nic tu nie pomogą. Przed laty narzucono nam konstrukcję administracyjną i formy gospodarcze, nieodpowiadające naszym potrzebom. One głównie zaciążyły nad życiem gospodarczym i osłabiły odporność wsi. Trzeba to zmienić, trzeba konstrukcję życia dopasować do naszych możliwości, do naszych sił i warunków. Ale trudno tego spodziewać się nawet od takiego rządu, w którym, jak jeden z dzienników wileńskich obliczył, zasiada aż pięciu reprezentantów naszego kraju, wobec stałej tendencji

normowania na jedno kopyto życia Małopolski, Pomorza i „Kresów Wschodnich“. Nie tak prędko przeto doczekamy zrozumienia naszych potrzeb istotnych, pomimo sprzyjających nawet pozorów.

W noworocznym numerze „Kurjera Wileńskiego“ p. T. Nagórski umieścił artykuł „frontem na zachód“, w którym starał się udowodnić, że na zachodzie państwa znaleźć możemy to, czego na próżno, rzekomo,—gdzieś indziej szukamy. Brak miejsca nie pozwala na polemikę z wywodami wspomnianego autora. Jedyne nawiasem chcę zauważyć, że od 10-ciu z górą lat jesteśmy siłą faktów kierowani frontem na zachód. Całe nasze życie było na ten zachodni front nastawiane. I dziś pomimo woli nasuwa się refleksja, że to nastawienie na zachód nie wyszło nam na dobre. I być może kryzys nas nauczy, że nie na zachód i nie na wschód—a frontem do serca własnego kraju należy nam stanąć.

Rusticus.

Próba wylomu.

Kłajpeda, 10 maja 1932 r.

I.

Sprawa Kłajpedy jest niewątpliwie jednym z najistotniejszych zagadnień polityki litewskiej. Opinia litewska zdaje sobie sprawę, że w tej kwestji chodzi o najżywoźniejsze interesy młodego państwa litewskiego, ale chodzi także o wielki interes międzynarodowy, który jest ważki conajmniej dla całej Europy, a już zwłaszcza i w najpierwszym rzędzie dla całego systemu państw, które od Estonji do Rumunii całkowicie powstały albo częściowo się usadowiły na ziemiach byłego terytorjum Rosji carskiej i Niemiec przedwojennych.

Że Niemcy nie chcą się pogodzić z dziełem Traktatu Wersalskiego, że w głębi swych pragnień—a pewne, odłamy otwarcie—dążą do zburzenia tego dzieła,—jest to fakt, który się zaprzeczyć nie da.

Rewizja Traktatu Wersalskiego jest z pewnością najpopularniejszą dziś ideą polityczną Niemiec. W szczególności zaś na wschodzie ta idea rewizji

prędzej podzielić się tą nowiną z rodzicami, którzy tego dnia nie byli w kościele.

Niespokojniewiczówna każdemu, kogo tylko spotkała, oznajmiała, że brat jest prawie generałem. Wieść ta dotarła niebawem i do pozostałych młodych Spokojniewiczów i Niespokojniewiczów. I wzbudziła taką ciekawość, że jak jedni, tak i drudzy, nie czekając na nieszpory, rzucili się w pogoń za Spokojniewiczówną, która z listem biegła do domu.

Nie dogonili jej, ale w drodze poczęli ze sobą rozmawiać. I jedni i drudzy na razie czuli się jakoś nieswojo. Gniew wprowadzie dawno się z ich serc ulotnił, ale że tyle czasu boczyli się na siebie, więc trudno im było odrazu powrócić do poprzednich stosunków. I jedni i drudzy udawali jednak, że o niczem więcej nie myślą, jak tylko o tem, że ich bracia stali się jakimiś tam niesłychanymi oficerami: „porczykami“, czy jak tam... Przez całą drogę tylko o tych „porczykach“ rozmawiali i nawet nie zauwa-

żyli, jak wszyscy razem wpadli do chaty Spokojnie wiczów, krzyżąc:

— Nasi są „porczykami“, generałami! — i raptem umilkli: trafili właśnie na chwilę, w której poważna Spokojniewiczowa, kazawszy przeczytać córce pocztówkę raz i drugi, zrozumiała przedewszystkiem jedno, że chłopcy zdrowi. Z powagą ukłękła i wzniosła ku niebu oczy i ręce:

— Dziękuję Ci, Panienko Najświętsza, żeś wysłuchała naszych prośb, zachowując naszych synów przy życiu.

Powiedziała „naszych“, ani chwili nie wając, że Niespokojniewiczowa również za obydwoch się modli każdego ranka i wieczora.

Ledwie zdążyła wstać, a już wszyscy młodzi pobiegli z listem do Niespokojniewiczów.

— Dobrze nowiny, cioteczko! wykrzyknęła Spokojniewiczówna i zaczęła czytać.

Od niej odkrytka przeszła do młodego Nie-

Traktatu i jego skutków łączy się z ideą rewizji granic, ideą „poprawek” terytorjalnych, któreby znów sprzegły organicznie Prusy Wschodnie z całością Rzeszy i nawiązały kontakt z Rosją, przecięty pasmem nowych tworów państwowych,—z Rosją, jako terenem ekspansji wschodniej Niemiec i wielkimi tyłami rezerwy środków gospodarczych i sił do wypadu na Zachód.

Tak więc cała gama zagadnień poszczególnych jako elementów jednego wielkiego i skomplikowanego węzła politycznego, sprzega się z tą lokalną na pozór i dla pokoju Europejskiego (Pacis Europae), zdawałoby się, podrzędną sprawą Kłajpedzką, która dla Litwy jest pozatem sama przez się niezmiernie żywotna i zawsze aktualna. W tej chwili Niemcom urzędowym nie chodzi jeszcze oczywiście o bezpośrednie odebranie Litwie Kłajpedy, choć już głosy takie odzywają się w nieodpowiedzialnych kołach opinii niemiecko-pruskiej, w obozie Hitlerowskim i w różnych organizacjach szowinistycznych, które z pogranicznej Tylży grożą i lżą Litwę i głoszą światu oraz opinii własnej nową „prawdę” o rzekomo odwiecznym charakterze etnicznym niemieckim kraju Kłajpedzkiego, który dopiero w czasach nowszych pod błogosławionymi rządami dobroczynnymi Prus zaludniony został przez osadników litewskich, przybyszów z „Litwy Wielkiej” i tą drogą zlitwinizowany pozornie (sic). Głosy te, które zresztą nie są wcale ani rzadkie, ani tylko epizodyczne, żądają wprost odebrania Kłajpedy albo co najmniej steroryzowania Litwy przez ekspedycję czy demonstrację zbrojną dla wymuszenia na niej zupełnej uległości woli i polityce niemieckiej w Kłajpedzie. Niemcy urzędowe tak daleko nie idą, ale w istocie dążą do tegoż celu, jeno inną metodą; sam zaś cel niemieckiej akcji Kłajpedzkiej jest znowuż tylko środkiem do celu dalszego i większego, celu istotnego, jakim jest zburzenie znieprawionego Wersalu i odzyskanie panowania w Europie.

Z sześciu państw (Francja, Belgja, Danja, Czechosłowacja, Polska i Litwa), do których włączone zostały bądź większe tereny, bądź nieznaczne skrawki b. terytorjum przedwojennego Rzeszy Niemieckiej, Litwa w granicach faktycznych swej niepodległości zrealizowanej, jest najmniejsza i już przez to samo słabsza jeszcze przez to, że nie posiada bliższych związków międzynarodowych z wielkimi możno-

władczymi potęgami świata, ma granice przeważnie otwarte, otoczona jest niemal ze wszech stron (prócz od strony Łotwy) przez państwa, pretendujące do polityki mocarstwowej, opartej na ich hegemonji i na włączeniu okolicznych państweczek drobniejszych w swój systemat imperjalizmu, położona jakby na gościńcu tranzytowym między Rosją, Niemcami i Polską, ma jeszcze inne bołączki sporów z sąsiadami, przewlekłych i jątrzących, a dotyczących jej najżywotniejszych warunków bytowania państwowego i międzynarodowego (spór z Polską). Wszystko to czyni Litwę punktem dla Niemiec najdogodniejszym do atakowania. Ktoby się tam o nią upomniał, ktoby ją poparł bezinteresownie bez chęci pochłonięcia jej przy tej okazji, komuby na jej prawie zależało! Jeżeliby się nawet znalazł „rycerz”, stający jej za sekundanta, to rycerz ten w stosunku do niej sam nie mniejsze, jeżeli nie większe, żywi lub żywić się wydaje apetyty, co nie może, niestety, działać na nią zachęcająco w kierunku podania dłoni bratniej! A upowszechniona u jej sąsiada polskiego legenda o niemieckim pochodzeniu państwa litewskiego i o „zaprzędaniu się” Litwinów Niemcom czyni i tego nieprzyjemnego dla Niemiec, ale też nieznanadto dotąd dla Litwy przyjaznego i bezinteresownego sąsiada podejrziwym na punkcie oceny konfliktów litewsko-niemieckich. Ten sąsiad, który w zbyt znany, niestety, sposób potraktował przed laty 12 ugodę Suwalską, nie zdaje się co do praktykowanych przez siebie dotąd w swoim stosunku do Litwy metod zbyt wielkie budzić zaufanie, gdyby nawet zechciał swoją o Litwie legendę wreszcie odrzucić i spojrzeć prawdzie w oczy. Niemcy wiedzą o tem dobrze i rozumieją, jakie dla *ich* akcji płynie pożytek z owoców polityki „faktów dokonanych” w stosunku do małych i słabszych sąsiadów, uprawianej przez Polskę przynajmniej w stosunku do Litwy.

Wszystkie te czynniki i względy czynią dla Niemiec Litwę punktem fizycznie najslabszym, mimo że psychicznie Litwa przez swój charakter narodowy twardy, wytrzymały w raz obrany kierunku, uparty nawet i konsekwentny (są to cechy charakterystyczne litewskie, które są niewątpliwie znane Polsce, bo są wspólne Litwinom i Polakom litewskim) — nie jest orzechem miękkim i łatwym do zgryzienia.

Wreszcie i ta okoliczność, że Kłajpedzie nada-

Spokojniewiczza, temu z rąk wyrwała siostrzyczka i wszyscy razem sylabizowali. Potem młodzi Spokojniewiczze powrócili do domu.

Ale tu okazało się, że Spokojniewiczowa nieodkładnie zrozumiała ustęp o tych oficerach; kazała list przynieść z powrotem i jeszcze raz przeczytać.

Po list pobiegła cała trójka. Na podwórku sąsiedniem spotkali starego Niespokojniewiczza i bez namysłu pocałowali go w rękę. Stary zmarszczył się z początku, lecz po chwili znów się rozpogodził. On również powrócił w dobrym humorze z miasteczka, gdzie nasłuchiwał się różnych dziwów o swym synu.

Nim wyprzągnął konia i wszedł do chaty, Spokojniewiczów już nie było. Teraz znów on zapragnął na własne uszy usłyszeć te nowiny, o których tak dużo się nasłuchiwał w miasteczku. Jeszcze nie zdążył wyrazić swego życzenia, gdy cała trójka kopnęła się do Spokojniewiczów po list.

Potem zaczęła się zbierać cała wieś, by nacie-

zyć się dobrmi wieściami. Tą drogą między Spokojniewiczami i Niespokojniewiczami zapanowały znów dawne stosunki: w przeciągu tego dnia jedni do drugich zabiegali po kilkanaście razy. Wreszcie obie gospodynie spotkały się na środku drogi, pocałowały się, uśmiechnęły, po kilka łez radości wylały i postanowiły następnego dnia jednym wozem pojechać do proboszcza mszę zakupić.

Jak uradziły, tak zrobiły. Proboszcz wiedząc o tem, iż stosunki między nimi były niedobre, zdziwił się i nawet zmieszał, ujrzawszy obie sąsiadki.

Skarżyć się będą na siebie... — pomyślał, lecz wkrótce uspokoił się, widząc poważne, lecz rozpromienione twarze kobiet.

Obie trzymały w rękę po trzyrublowym banknocie, jedna z nich objaśniła, o co im chodzi, i na dowód prawdy swych słów pokazała pocztówkę.

Proboszcz wziął kartkę, grzecznie poprosił kobiety, by usiadły, przeczytał, pomyślał, odebrał od

ny został statut autonomiczny, zagwarantowany konwencją międzynarodową, której kontrolę wykonania zlecono Lidze Narodów i sankcjonowano ewentualnym skierowaniem sporów do Trybunału Międzynarodowego w Haadze, ułatwia Niemcom ich grę jątżenia sprawy kłajpedzkiej.

Daje to im możliwość ciągłego kwestjonowania zarządzeń państwowych Litwy w Kłajpedzie, czepiania się i podnoszenia bez końca alarmów wobec opinii tak niemieckiej, jak międzynarodowej. Sam fakt autonomii Kłajpedy nie jest wcale ani ujemny ani niebezpieczny dla Litwy. Słusznie się ona dzielnicy Kłajpedzkiej należy i sami patrjoci litewscy w Kłajpedzie są autonomistami zdecydowanymi. Nikt też w Rzeczypospolitej Litewskiej autonomii tej nie kwestjonuje. Jeszcze w roku 1921, kiedy przynależność państwowa Kłajpedy nie była ustalona i kiedy mowy nie było o konwencji międzynarodowej, mającej tę autonomię gwarantować, Sejm Ustawodawczy Litwy z inicjatywy własnej uchwalił rezolucję deklaracyjną, zastrzegającą autonomię dla Kłajpedy. Chociaż znaczna większość ludności tej dzielnicy jest litewską, to jednak sam fakt, że kraj był przez lat 500 oderwany od związku państwowego z Litwą, jak również odrębne oblicze kulturalne tej części narodu litewskiego i znaczna ilość Niemców w kraju Kłajpedzkim, waga niemieckich pierwiastków kultury tamże, wpływ ustawodawstwa niemieckiego w kształtowaniu form spółżycia, — wszystkie te względy uzasadniały autonomję dzielnicy odzyskanej.

Ale autonomia, wwiązana w zastrzeżenia i zobowiązania konwencji międzynarodowej, daje znakomite pole do czepiania się, najróżniejszych protestów, zwłaszcza gdy jest ktoś, komu zależy na mąceniu stosunków i szukaniu zaczepki. „Calomniez, calomniez toujours — il en restera quelque chose” — powiada znany aforyzm. To samo da się zastosować do skarg i alarmów, podnoszonych o rzekome pogwałcenie zobowiązań prawnych. Ciągłe skarżąc i alarmując, wywołuje się wrażenie, że przecież musi być w tem cokolwiek prawdy i że ten, którego się skarży, musi być przecie winny. Jednocześnie demoralizuje się przez to ludność dzielnicy, rozzuchwała się te elementy, które są wrogię państwu i które uprawiają sabotaż systematyczny i intrygują na rzecz sąsiada, natomiast onieśmiela się te, które są skłonne do lojalizmu, ugody i stanowiska państwowego.

Niemcy to uprawiają systematycznie. Chodzi im o to, aby państwo litewskie w Kłajpedzie dyskredytować i za wszelką cenę nie dopuścić do asymilowania się dzielnicy z państwem, do odniemczenia się ludności litewskiej, dyskredytując państwowość litewską tak wewnątrz, jak na zewnątrz.

Trzy są zwłaszcza wybitne czynniki zrastania się dzielnicy Kłajpedzkiej z całością państwową Litwy, które są solą w oku Prus. Pierwszym jest czynnik ekonomiczny. Gospodarczo Kłajpeda potrzebuje „hinterlandu“ litewskiego i potrzeba ta wzrasta z roku na rok stale. Granica celna, oddzielająca Litwę od Niemiec, sprawia, że dla rynku litewskiego zakładanie fabryk, warsztatów i pracowni wytwórczych w Kłajpedzie, to znaczy po tej stronie granicy celnej, stanowi atut w konkurencji z produkcją niemiecką (pruską), której artykuły obciąża cło. To też w Kłajpedzie szybko wzrasta przemysł fabryczny, związany i wiążący ją z Litwą. Przyczynia się do tego sam kapitał niemiecki. Tak robotnicy, jak przemysłowcy, jak zatrudniona w tym przemyśle, w jego administracji i zbywaniu jego produktów armja pracowników i agentów — staje się coraz bardziej czynnikiem jednoczącym, dla którego hasła separacyjne są obce i niebezpieczne. Ich los jest ściśle z losem tego przemysłu związany, a los tego przemysłu zależy od przynależności państwowej kraju do Litwy. Przemysł zatem i handel Kłajpedzki są wybitnym narzędziem ugody.

Nie mniej ważnym jest także czynnik gospodarczy w handlu tranzytowym Kłajpedy, jako portu, łączącego Litwę z innymi krajami w stosunku do jej importu i eksportu. Port Kłajpedzki uniezależnił Litwę od pośrednictwa handlowego Niemiec, które poprzednio dzięki położeniu geograficznemu i zerwaniu stosunków Litwy z Polską miały w tym względzie prawie że zupełny monopol i prawie że niepodzielnie zagarnęły Litwę dla swoich produktów własnych. Doniedawna też Kłajpedzie robiła pod tym względem poważną konkurencję Libawa, która wyzyskiwała dawną ustaloną rutynę stosunków handlowych litewskich, związanych z tym portem lotewskim. Pod tym względem ogromną usługę Kłajpedzie oddała obecna sytuacja ekonomiczna Łotwy i zarządzania finansowe samego rządu lotewskiego, skierowane do utrzymania kursu łąta i hamujące obrót pieniężny i handlowy przez zakaz wywozu waluty. Zarządzenia te, wywołane przez ciężki

obu pieniądze i, poszperawszy w szufladzie, przed każdą położył po dwie srebrne monety. Przed jedną półtora rubla i przed drugą.

— Co to, dobrodzieju?.. — spytała głośno Niespokojniewiczowa.

— Myśmy chciały zakupić uroczystą Mszę... — dodała cicho Spokojniewiczowa.

— Rozumiem! — odparł proboszcz. I Msza będzie uroczysta. Nawet żyrandol każę zapalić. Ale Msza musi być składkowa: tak chcą wasi synowie. Widzicie: obaj piszą na jednej odkrytce, wysyłają pod jednym adresem, prosząc wszystkich modlić się za obu. A więc tak trzeba i zrobić...

Dopiero teraz sąsiadki zrozumiały to, co przedtem im takim niejasnym się zdało. Zrozumiały, czemu to ich synowie tak dziwnie napisali. Dopiero teraz zrozumiały, że ich synowie już się pogodzili i że są oni mądrzy, jak sam proboszcz: oto pogodzili i swe rodziny.

Niezmiernie uradowały się obie.

— To niech będzie tak: jedna Msza św jako podzięką za doznaną łaskę Boską, a druga — jako prośba, by Bóg i nadal miał ich w swojej opiece, — powiedziała Spokojniewiczowa i zwróciła proboszczowi resztę pieniędzy.

Spokojniewiczowie i Niespokojniewiczowie dwoma dużymi wozami pojechali do kościoła wysłuchać tej samej Mszy św. Modlili się gorąco, nie czyniąc w modłach żadnej różnicy między dwoma przyjaciółmi. Obie matki razem obdzieliły jałmużną żebraków i żadna ani razu nie pomyliła się mówiąc:

— Módlcie się za naszych synów...

Po tygodniu powtórzyło się to samo.

W czasie drogi nieraz do starych Niespokojniewiczów włązili młodzi Spokojniewiczowie, a do Spokojniewiczów — Niespokojniewiczowie. Gawędzono, śmiało się i radowano serca starych rozpromienionymi twarzami.

(D. c. n.)

kryzys gospodarczy, tak skrepowały i utrudniły handel i ruch tranzytowy. *via* Libawa, że zadały cios rutynie i odciągnęły tranzakcje handlu litewskiego od portu Libawy, skierowując je do portu Kłajpedy. To też w ostatnich czasach ruch portowy Kłajpedy, który wzrastał stale, wzrósł szczególnie kosztem zwyciężonej wreszcie jej rutynowanej rywalki — Libawy. Nowa kolej żelazna Szawle—Telsze—Kretynka—Kłajpeda, która będzie wykończona i otwarta dla ruchu w roku bieżącym i która skraca przestrzeń a przeto jeszcze bardziej zbliża Kłajpedę do Litwy niepodległej, a ewentualnie i do Wilna, działać będzie również w tymże kierunku: linja Libawska prze-rodzi się w linję Kłajpedzką.

Są to czynniki, które działają może nieznacznie, ale systematycznie i pewnie. Niemcy o faktach tych wiedzą i obserwują je oczywiście niechętnie, ale uważnie. Postępy działania tych czynników drażnią Niemców pruskich, niecierpliwia ich i usposabiają nerwowo. Kłajpeda im się wymyka z rąk, w Kłajpedzie narastają ciężenia państwowe do Litwy, działające przeciwko separatyzmowi niemieckiemu.

P. K.

Nowy eksperyment na Białorusi Sowieckiej

Polityka narodowościowa w Sowietach nigdy nie była wyraźnie ustaloną. Pomimo specjalnych studjów nad zagadnieniami narodowościowymi i obowiązujących uchwał o trzymaniu się raz powziętego kursu, każdy rok istnienia unji sowieckiej przynosi coraz to nowe komplikacje i raptowne zmiany. Dyktatura jednostki lub niewielkiej ponadpartyjnej klikki oczywiście bardzo sprzyja najryzykowniejszym posunięciom, które w ustroju parlamentarnym byłyby nie do pomyślenia.

Zmienność taktyki sowieckiej w dążeniu do raz wybranego celu jest ogólnie znaną; związana jest ona z pewnymi rachubami na dorazny zysk polityczny, natomiast wnosi w życie państwa nieprzerwany chaos, niestałość, płynność, niepewność jutra. Może dlatego mówi się o Sowietach, że pomimo niezwykłego tempa rozbudowy przemysłu, panuje tam ciągły stan wrzenia i gorączki rewolucyjnej, wyczerpujący do ostatka przeciętnego obywatela. To, co jednego dnia uznane jest za niewzruszony dogmat, jutro staje się błędem prowadzącym nawet do kolizji z kodeksem karnym. Chwiejność ta cechuje przede wszystkim sowiecką politykę narodowościową na białoruskich sąsiadujących z nami terytorjach.

Codzienny organ partji komunistycznej w Mińsku p. t. „Zwiazda” z dnia 18.III b.r. zamieszcza uchwałę Prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Wspomniana uchwała brzmi jak następuje:

„Zważywszy, że w rejonie Kojdanowskim przeważającą większość ludności stanowią Polacy i że z 16 sielsowietów (gmin) rejonu, 10 są polskimi sowietami narodowymi, prezydium CWK. BSSR postanawia:

„1) Rejon Kojdanowski przekształcić w polski narodowy rejon Kojdanowski.

„2) Przeprowadzić nadzwyczajne wybory sowietów w rejonie Kojdanowskim w czasie od 25

marca b. r. do 20 kwietnia b. r. oraz w dniu 25 kwietnia zwołać zjazd nadzwyczajny sowietów polskiego narodowego rejonu w Kojdanowie”.

Dodać należy, że ten obszar zamieszkuje około 70 tys. ludności.

Ta nieoczekiwana uchwała przede wszystkim musi nasunąć pytania: jak i dlaczego to się stało?

Trzeba było aż tyle lat po ogłoszeniu Republiki Białoruskiej nauczać ludność w języku białoruskim, to znaczy rzekomo obcym w rejonie Kojdanowskim, by raptem przyjść do wniosku, że ta ludność wcale nie jest białoruską, tylko polską. Trzeba było w gminach, urzędach państwowych przymusowo nieraz prowadzić księgi w języku białoruskim, posługiwać się białoruszczyzną w mowie przez cały szereg lat, by potem raptem odkryć, że ludność nie chce tego języka, którym posługuje się u siebie w domu a woli język państwowy państwa ościennego, zohydzanego przez bolszewików jako „państwo panów i szlachty”.

Kto choć pobieżnie zna obszar, o którym tu mowa, ten od razu musi zorientować się, że nową u bolszewików miarą określenia narodowości jest tu nie język, nie terytorjum, nie przeszłość, tylko... religja.

Że wyznanie w ciemnych masach wiejskich jest utożsamiane z narodowością—jest to zjawiskiem znanem dobrze u nas. To pomieszanie pojęć wyzy-skiwane jest po dzień dzisiejszy w celach polonizacyjnych, lecz by tę „katolicką” miarę stosowali ci, co zwalczają wszelką religję i wszelką tradycję—to już są rzeczy całkiem nowe i nie bardzo narazie zrozumiałe.

Polityka sowiecka, jej zamierzenia tem się przede wszystkim różnią od polityki innych państw, że są bardziej maskowane. Mimo bliskiego sąsiedztwa, z powodu przede wszystkim niedostępności prasy sowieckiej u nas, zbyt trudno jest orjentować się w tem, co się dzieje za czerwonym kordonem. To też niepodobna rozstrzygnąć, co było powodem ogłoszenia owych kilkunastu gmin Mińszczyzny jako polskie. Nie można, oczywiście przypuścić, by czynniki decydujące w Mińsku czy Moskwie nie wiedziały o tem, że owe częściowo katolickie gminy niczem się nie różnią poza wyznaniem od innych gmin. Nie podobna rzecz prosta przypuścić, by te czynniki były tak naiwne jak nasz często niepiśmienny prostaczek i nie odróżniały wyznania od narodowości. Takich błędów elementarnych bolszewicy nie popełnią. Chodzi im widocznie o co innego i tu można narazie snuć tylko domysły i przypuszczenia.

A więc popierwsze. Bolszewicy, uwzględniając postulaty narodowe Białorusinów w sprawie szkolnictwa oraz prasy, w znacznej mierze pozyskali zaufanie mas wiejskich i poniekąd narzucili im ideologję komunistyczną. Z drugiej jednak strony uświadomienie narodowe, przy pomocy szkoły i prasy, automatycznie wzrosło, w czem bolszewicy dopatryli się niebezpieczeństwa nacjonalizmu białoruskiego. W obawie przed tym nacjonalizmem, bardzo możliwe, iż władze sowieckie uznały za wskazane osłabić go, stosując środek dywersyjny i popierając używanie języka polskiego przez ludność, która tego języka w domu nie używa, ale zna, bo nauczyła się go kiedyś przy pomocy pacierza i kazań.

Po drugie, katolicy Białorusini w Mińszczyźnie, mocno przywiązani do Kościoła, niewątpliwie odczu-

wają pewien sentyment do Polski właśnie z powodu wyznaniowych. Surowe rządy sowieckie, nędza materialna, oraz niezdawanie sobie sprawy z kryzysu na zachodzie, niewątpliwie ten sentyment potęgują. W tych warunkach nie ulega kwestji, iż pewna część włościanstwa białoruskiego wyznania katolickiego chętnie mogła przyznawać się do narodowości polskiej i czyniła starania o uruchomienie szkół polskich. Pytanie tylko, czemu ten objaw wystąpił jedynie w rejonie Kojdanowskim i przybrał tam właśnie charakter masowy?

Po trzecie. W kołach bolszewickich jak wiadomo, niepoślednią rolę odgrywają komuniści Polacy, którym nie są obce tendencje nacjonalistyczne. „Bielaruskaja Krynica” wysuwając ten motyw jako jedyną przyczynę ostatniej mińskiej uchwały, przypomina jakimi to wpływami cieszyli się w sowieckich sferach rządzących tacy polscy komuniści, jak Dzierżyński, Marchlewski a obecnie szef G. P. U. w Mińsku Mieñżyński. Gdyby nawet ten moment nie był zasadniczym dla ostatniego posunięcia władz sowieckich, to w każdym razie mógł mieć pewien wpływ.

Pozostaje jeszcze jedno przypuszczenie, być może nieco paradoksalne.

Niedawno pewien inżynier polski wygłosił przez radio odczyt o odwodnieniu Polesia. Na zakończenie nie twierdził on, zresztą całkiem słusznie, że osuszenie Polesia po stronie polskiej jest nie do pomysłenia bez uzgodnienia takich samych robót melioracyjnych po stronie Polesia sowieckiego. I rzeczywiście: osuszyć terytorja sowieckie, popłyną na jej miejsca wody z pod Pińska;—odwodnić terytorja zachodniego Polesia—zaleją je wody sowieckie. Trzeba pracę uzgodnić.

Zdaje się, że pomysł owego inżyniera został użytkowany w innej dziedzinie. Nie dotyczy on błot poleskich, lecz ma na względzie wspólną „meljorację” ludności białoruskiej...

icz.

Wszystkie drogi prowadzą... do Warszawy.

Zewsząd i ustawicznie rozlegają się utyskiwania na niepomierne centralizm, który utrudnia i bez tego ciężkie pod każdym względem nasze życie. Narzekania te jednakże najczęściej mają charakter ogólnikowy i nie są popierane przykładami konkretnymi. Być może dlatego też nie wywierają głębszego wrażenia na opinję publiczną i nie wywołują z jej strony żadnego odruchu, z którymby czynniki decydujące uważały za potrzebne się liczyć. A przecież codzienne doświadczenie takich rażących przykładów nastęrcza ilość niezliczoną, systematycznie zaś podawanie ich do wiadomości publicznej, poza stroną humorystyczną, być może, miałoby też i pewien wpływ pedagogiczny.

Niżej podpisany akurat natknął się niemal jednocześnie na trzy takie absurdy centralistyczne w trzech rozmaitych dziedzinach.

Jeden z dziedziny handlowo-finansowej. Pewien obywatel wileński, zapalony filatelista sprowadził sobie z Paryża album do marek. Urząd celny w Wilnie jednakże, poza wymierzonym przezeń olbrzymim cłem, niemal przewyższają-

cem wartość albumu, oświadczył, że albumu, które zostało zdefiniowane jako „wyrób introligatorski”, nie może wydać bez pozwolenia Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Oczywiście poszło odpowiednie podanie do Warszawy. Po miesiącu oczekiwania nadeszło z ministerstwa żądanie uzupełnienia informacji oraz dodatkowej opłaty stemplowej. Wreszcie jeszcze po dwóch tygodniach znudzony i zirytowany petent otrzymał żądane pozwolenie, przyczem, nie licząc straconego czasu i kosztów związanych z korespondencją z ministerstwem, musiał zapłacić spore składowe za przechowanie przesyłki w ciągu 1½ miesiąca w urzędzie celnym. Można sobie wyobrazić ile zabiegów i niepotrzebnych wydatków musi ponieść kupiec wileński, mający stałe stosunki z firmami zagranicznymi.

Drugi przykład z dziedziny formalistyki biurokratycznej. Kandydatka do egzaminu nauczycielskiego składa podanie do państwowej komisji egzaminacyjnej, funkcjonującej przy U. S. B. Zdawałoby się, że Uniwersytet i Kuratorium są to instancje, których kompetencja aż nadto jest wystarczająca, by takie podanie zatłwić na miejscu. Gdzież tam! Podanie wędruje do Warszawy, czas przechodzi i wreszcie ministerstwo „reskrytem” (*sic!*) udziela łaskawie swego pozwolenia i określa warunki egzaminu.

Wreszcie trzeci przykład, już naprawdę humorystyczny. Pewna państwowa instytucja kulturalna, zatrudniająca kilku zaledwie pracowników i posiadająca odpowiedzialnego kierownika, gdy nadchodzi czas letnich urlopów, musi zwracać się o zatwierdzenie rozkładu urlopów do Warszawy. Kierownik nie jest do tego upoważniony.

Tych trzech zacytowanych przykładów wystarczy chyba, ażeby unaocznic, ile to czasu, energii i pieniędzy marnuje się niepotrzebnie wskutek bezmyślnego systemu centralistycznego. A przecież nie są to bynajmniej fakty najjaskrawsze. Napewno nie brak jeszcze większych nonsensów. Ale pociesmy się. W Warszawie w pocie czoła pracuje „Komisja dla usprawnienia administracji”.

Mir.

Biblijografia.

Rabinowiczówna Sara. *Wilno w powstaniu roku 1830/31*. Biblioteczka Wileńska Nr. 4 Wilno. Wydawnictwo Magistratu m. Wilna. 1932.

Słusznie zaznacza autorka omawianej pracy jakoteż w przedmowie do niej prof. St. Kościalkowski, że bardzo mało wiemy o roli Wilna w powstaniu listopadowym. Niestety trzeba stwierdzić, że i badania p. S. Rabinowiczówny niezbyt dużo światła rzuciły na tę ciemną kartę dziejów naszego miasta. Nie jest to winą młodej pracownicy naukowej, lecz pochodzi z braku wiarogodnych źródeł, które są rodzaju dwojakiego: dokumenty urzędowe (raporty, akta śledcze, protokoły etc.) oraz pamiętniki uczestników powstania i literatura emigracyjna wogóle. Na materiałach tych trudno polegać ze względu na ich jednostronność i tendencyjność, tembardziej, że na każdym kroku zachodzą pomiędzy danymi archiwalnymi a relacjami drukowanymi znaczne różnice a nawet sprzeczności.

Wydaje mi się, że autorka niepotrzebnie zadaje sobie tyle trudu, zestawiając skrupulatnie obie wspomniane kategorie źródeł i podkreślając rozbieżności pomiędzy nimi, przyczem zawsze się okazuje, że nieścisłość i przesada cechują literaturę pamiętnikarską. Wystarczy jednej takiej próbki we wspom-

nieniach Przyalgowskiego, gdzie jest mowa o przywitaniu przez studentów uniwersytetu wileńskiego przemówienia feldmarszałka Dybicza gwizdaniem i tupaniem (w czasach Mikołajewskich!!), by odmówić im wszelkiej wartości, a ich autora zaliczyć do rządu blagierów i fanfaronów. O wiele większą wagę mają materiały archiwalne, ale mam wrażenie, że p. Rabinowiczówna za mało je wyzyskała, a w każdym razie popełniła błąd pomijając w swej pracy opis i analizę szczegółową znalezionych przez nią w Archiwum Państwowym papierów. Nie wiemy przeto, czy jest to wszystko, co zawierało archiwum generał-gubernatorskie odnośnie do wypadków z lat 1830/31 w Wilnie, czy też tylko część i jaka, bo przecież wiadomem jest, że znaczna część archiwum politycznego została w roku 1915 wywieziona do Rosji.

Wogóle źródła, nawet drukowane, nie zostały należycie uwzględnione. W „Dodatkach” zamieszczone zostało ogłoszenie wil. gen. gubernatora o wykonaniu wyroku nad ks. H. Wojtkiewiczem, ks. M. Strzałką, i K. Sorokiewiczem na podstawie notatek prof. L. Janowskiego, skrócone i niedokładne. Tymczasem pełny tekst tego samego obwieszczenia ukazał się już w druku na szpaltach „Gazety Krajowej” w artykule p. t. „Rzadki druk” (Nr. 74 z d. 28.XI.1920 r.). W tymże artykule dziennikarskim znajduje się wzmianka o komunikacie urzędowym w sprawie Kudrewicza z powołaniem się na Nr. 28 „Tygodnika Petersburskiego” (T. III 1831 r.). Komunikat ten, jak można sądzić z przypisów, nie jest znany autorce w brzmieniu oryginalnym. Są to, oczywiście, drobne usterki, ale zacytowany przykład nasuwa podejrzenie, że może jest w pracy więcej takich luk i niedopażeń.

Za zbyteczne natomiast uważam wielokrotne dociekania p. Rabinowiczówny na temat roli i znaczenia t. zw. Komitetu Centralnego Wileńskiego, o którym dochowały się dość mętne i nader skąpe wiadomości. Autorka niepotrzebnie łamie sobie głowę nad jego bezczynnością i z pewną nieśmiałością dochodzi do wniosku, że „cała działalność Komitetu w Wilnie wygląda tak, jak gdyby członkowie nie brali jej poważnie”. Wniosek najzupełniej słuszny, a cały ten komitet najprawdopodobniej był fikcją, nie mającą żadnego realnego znaczenia. Dość przeczytać pamiętniki Stanisława Szumskiego, który w tym komitecie miał zajmować naczelne stanowisko, aby nabrać przekonania, że człowiek o tak ciasnej głowie nie był zdolny ani do zdecydowanego czynu, ani tembardziej do roli kierowniczej w ruchu powstańczym. To też wystarczyło poświęcić Komitetowi kilka słów i przejść nad nim do porządku dziennego.

Na ogół zasadniczym błędem p. Rabinowiczówny jest usiłowanie wykazania, że całe Wilno było ogarnięte duchem powstańczym, i że tylko wskutek niepomyślnych okoliczności, a przedewszystkiem z braku organizacji nie doszło w niem do wybuchu zbrojnego. Na tym punkcie argumentacja autorki pozostawia wiele do życzenia. Zapal młodzieży akademickiej i pojedynczych jednostek spośród inteligencji oraz duchowieństwa nie jest miarodajny dla oceny nastroju ogółu ludności Wilna. Sądząc z faktu, że względem mieszkańców nie były stosowane żadne

szczególniejsze represje, że areszty były stosunkowo bardzo nieliczne i nie było ani jednego wyroku śmierci (poza spiskiem Kudrewicza) należy raczej przypuszczać, że w r. 1831 nie tylko w Wilnie nie było powstania, ale nie było również żadnych poważniejszych przygotowań do zbrojnego wystąpienia, nie było nawet żadnych demonstracji, zwykle poprzedzających wybuch i świadczących o podnieceniu umysłów. Wiarogodny pod każdym względem pamiętnikarz Morawski daje obraz takiego właśnie Wilna, a nie wyidealizowanego przez egzaltowanych emigrantów.

a.

Pr. V. *Jauno kunigo vargai*. Kaunas 1931.

Autor w dziełku pod tytułem powyższym opisuje swój pobyt przed wojną w seminarjum duchownym w Kownie, swoje powątpiewania co do powołania, doznane od ks. prefekta P. (już nieżyjącego) niezasadzone podejrzenia i prześladowania, pierwsze przejawy budzącego się wówczas ruchu litewskiego i niemądre próby skrepowania jej ze strony zwierzchności seminaryjnej etc. Najplastyczniej występuje w opisie ks. prefekt, postać najzupełniej rzeczywista („historyczna”). Był to kapłan sumienny a pobożny, lecz o słabej pamięci i jeszcze słabszej głowie. Przez jakieś chyba nieporozumienie piastował tak odpowiedzialne stanowisko, dlatego jego portret w książce robi wrażenie najniekorzystniejsze.

Wychodząc z zasady, że wspomnienia się pisze *ad narrandum non ad docendum*, autor w prostocie ducha opowiada, zamilczając nazwiska, jak się rzeczy złożyły za jego pobytu w seminarjum duchownym w Kownie i jak, bez żadnej swojej winy, omal nie został zeń wydalony. Biorąc naogół, utwór dosyć ciekawy, choć i nie całkiem udatny pod względem literackim. A i samo życie seminaryjne uwydatnione tylko cząstkowo. Zwierzchność seminaryjna: rektor, inspektor, ojciec duchowny, profesorowie i in. prawie nie występują na scenę, cała natomiast uwaga skupiona na jednym ks. prefekcie, który dzięki temu odmalowany jest szczegółowo i realistycznie. Niejeden czytelnik może niesłusznie pomyśleć, że to swego rodzaju zemsta literacka, lecz w rzeczywistości tak nie jest! Bogu ducha winny autor pisał, jak umiał i jak było istotnie, nic od siebie ani dodając, ani zmieniając...

Jak widać, omawiany utwór ma niemało wspólnego z powieścią A. Millera „Powołanie”.

S—cb.

OGŁOSZENIE.

Na zasadzie uchwał walnych zgromadzeń z dnia 6/I-1980 r i 8/III-1931 r. Stowarzyszenie spółdzielczej księgarń „WIOSNA” w Świącianach z odpowiedzialnością udziałami znajduje się w stanie likwidacji.

Na zasadzie art 76 ust. o spółdzielniach z dn. 29/X-1920 r. (D. U. R. P. Nr. 111 poz. 733) wzywa się wszystkich wierzycieli do zgłoszenia swych pretensyj na ręce likwidatorów.

Likwidatorzy.